

**Cyprian Kamil Norwid**  
**CZŁOWIEK**



1.

Jak pisał Norwid? I dlaczego tak właśnie? W przeciwieństwie do swoich wielkich romantycznych poprzedników ten poeta nie ma stylu. On chce i umie być różnorodny. Oczywiście dziś rozpoznajemy pewne powtarzające się cechy jego pisania czy nawet manieryzmy, ale należą one już bardziej do lektury niż do samych wierszy; są efektem obcowania z całością tego dzieła, które zresztą, jako całość właśnie, ma też swoją wewnętrzną umyślność.

Norwid ma bowiem ambicję wielkiego architekta znaczeń. Dąży do tego, aby każdy element tekstu był konieczny, a wszystkie razem zestrzajały się w kompozycję, w strukturę i w dramaturgię – jawnie sztuczną, ale dlatego właśnie absolutnie kompletną. Dźwięk, obraz, znak, idea mają się wzajemnie oświetlać; do tego stopnia, że bez światła, jakim emanuje perfekcyjnie zespolone uniwersum semantycznych impulsów, słowa nie zaistniałyby jako znaczące, a sens nie nawiedziłby wymowy. Wedle romantycznej filozofii twórczenia (wyznawali ją poeci całej ówczesnej Europy) poezja polega na doprowadzeniu języka do stanu znaczenia (a nie: użycia), dzięki któremu umysł rozpoznaje prawdziwą naturę rzeczywistości. Wszakże celem ostatecznym takiego objawienia nie jest bynajmniej poznanie, lecz powinność – duchowego, przeznaczonego istocie ludzkiej uczestnictwa w świecie. Objawienie poetyckie nie kończy więc procesu poznawczego, lecz go intensyfikuje, bo inicjuje zaangażowanie całego, nie tylko racjonalnego człowieczeństwa. Jeśli bowiem każdy element wiersza pochodzi z wiersza, to poezja poprzedza refleksję, dosłownie ją umożliwia. Formy wyłaniają idee, a zmysłowa samowiedza toruje drogę

myślom wypowiedzianym, czyli nieodłącznym od cieleśnego doznania.

Ta szczególna współ-refleksyjność znaków powoduje, że rozmontowane krytyczną analizą Norwidowe wiersze czasem tracą blask, popadają w banał lub dydaktyczną sentencjonalność. Tylko część bogatego dorobku poety osiąga ten magiczny poziom, na którym otwierają się drzwi niespodziewanej percepcji. Reszta to wciąż mądre, ale jednak ledwie sprawnie rymowane rewelacje, świetnie nadające się na cytaty. Dzisiaj on sam pewnie cieszyłby się z tego, że to właśnie te pokrętne, brawurowo pomysłowe, ciemne wersy pociągają nas, od dawna ponowoczesnych, najbardziej. Niepokorny autor świadomie ryzykował taką właśnie niefortunność czytelniczej reakcji sobie współczesnych, wręcz ją prowokował. Czynił tak, podejrzewam, wiedziony nie tylko dumą człowieka wyjątkowego, lecz i konsekwencją swojej filozoficznej wiary.

Myśl była bowiem dla niego skutkiem zderzenia słowa z doświadczeniem, kiedy to Wypowiedziane odsłania Istniejące, kiedy *logos* i *aletheia* pospołu wydają się ludzkiemu rozumieniu, jakby ono na ten dar oczekiwało, a człowiek nań zasługiwał. Myśl wierszem wyrażona to moment „poetyckiego bycia na Ziemi”, to bezcelowe – a więc tajemnicze w swojej jasności – uobecnienie się Bycia w osobowej samowiedzy. To wydarzenie w całej pełni ludzkie, bo oświetlające Byt w lustrze upodmiotowionej mądrości, która konstituuje osobową tożsamość, każdą z osobna, wszakże dla dobra wspólnoty. Poezja zatem, umożliwiając człowiekowi myślenie jako rozumienie, myślenie całkowicie bezinteresowne, dana nam została do tego, byśmy mogli żyć twórczo, czyli – być po ludzku, a więc być sobą.

Norwid filozof uzależnia się od Norwida poety świadomie i konsekwentnie, bo ze swojej estetyczno-epistemologicznej postawy wyciąga wnioski antropologiczne i kulturowe. Słowem: wznosi gmach całej możliwej humanistyki, w pełnym i esencjalnym tego słowa znaczeniu. Ostatecznie chodzi mu o to, by człowiek spełnił się w swoim, zapisanym w przeszłości i wciąż mozolnie odczytywanym, przeznaczeniu.

Był postępowym konserwatystą – chciał, żeby ludzkość weszła w nowy etap ewolucji źródłowego zadania, jakie Stwórca wyznaczył Stworzeniu: swojemu partnerowi. Ale tak postępując, wydawał się na ryzyko zbłądzenia w gęstwinie fałszywych sygnałów: sensualne i sentymentalne satysfakcje kuszą bowiem sens łatwą zdobyczą – efektywnych metafor, słownych zestrojów, paronomazji i paradoksów. Dlatego czytanie tych wierszy bywa frustrujące i fascynujące na przemian, drażniące w dwójnasób. A czytać je trzeba niejednokrotnie, bo one są do odsłuchiwania w ciszy umysłu. Nieczytane tym wewnętrznym głosem ulegną implozji, zapadną się w solipsyzm, którego poeta był świadom i którego bał się tak bardzo, że większość swoich poematów kierował wprost do potencjalnego interlokutora, jakby zależało mu na natychmiastowej reakcji: na rozmowie. A przecież słuchało go tak niewiele!

Poecie odważnemu, twórcy brawurowemu potrzebny był partner na jego miarę. Niestety, tych Norwidowi zabrakło. Straciliśmy na tym wszyscy, bo poezja polska musiała czekać na... Leśmiana, żeby Norwidowy wątek podjąć. A i ten musiał czekać na swojego Karpowicza... Przez ten czas nie znalazł się w Polsce filozof zdolny odpowiedzieć polskim poetom. Rozbudzający ambicje Norwid wciąż budzi więc w Polakach tylko próżną fascynację albo pustą pogardę.





Lecz, nie kwiląc jak dziecię,  
Raz wywalczę się przecie.  
Niech mi puchar podadzą i wieniec!...  
I włożyłem na czoło,  
I wypilem, a wkoło  
Jeden mówi drugiemu: „Szalenciec!!”



Więc do serca o radę  
Dłoń poniosłem i kładę,  
Alic nagle zastygnie prawica:  
Głośno śmieli się oni,  
Jam pozostał bez dłoni,  
Dłoń mi czarna obwiła pętlica.



Źle, źle zawsze i wszędzie,  
Ta nić czarna się przędzie:  
Ona za mną, przede mną i przy mnie,  
Ona w każdym oddechu,  
Ona w każdym uśmiechu,  
Ona we łzie, w modlitwie i w hymnie.



Lecz, nie kwiląc jak dziecię,  
Raz wywalczę się przecie;  
Złotostruna, nie opuść mię, lutni!

Czarnoleskiej ja rzeczy  
Chcę – ta serce uleczy!  
I zagrałem...  
...i jeszcze mi smutniej.

CZŁOWIEK

Pisałem we Florencji 1844 r.

**Aerumnarum plenus**

Czemu mi smutno i czemu najsmutniej,  
 Mamże ci śpiewać ja – czy świat i czas?...  
 Och! bo mi widnym strój tej wielkiej lutni,  
 W którą wplątany duch każdego z nas.

I wiem, że każda radość tu ma drugę  
 Poniżej siebie, przeciw-radą łzę,  
 I wiem, że każdy byt ma swego sługę,  
 I wiem, że nieraz, błogosławiąc, klnę.

Czemu mi smutno? – bo nierad bym smucić,  
 Ani przed sobą kłamstwa rzucać cień,  
 By skryć, jak czego nie można odrzucić,  
 By uczcić, czego wyciąć trudno w pień.

Więc to mi smutno – aż do kości smutno,  
 I to – że nie wiem, czy ten ludzi stek  
 Ma już tak zostać komedią-okrutną,  
 I spać, i nucić, śpiąc: „T o – t a k i w i e k !”

Więc to mi smutno, i tak coraz gorzej,  
 Aż od-człowiecza się i pierś, i byt,  
 I nie wiem, czy już w akord się ułoży,  
 I nie wiem, czy już kiedy będę syt!...

I nie wiem – – czy już będę mógł nie wiedzieć,  
 Że coraz ż y w o t mniej uczczony tu –  
 Że coraz łatwiej przychodzi powiedzieć,  
 Ze snu się budząc: „W r ó ć m y ż znów do snu!”



## Źródło

Kiedy błdziłem w Piekło, o którym nie śpiewam  
 Dlatego, że mi klątwy się pierw w usta kleją,  
 Jak muchy brzydkie, które ze skwarów szaleją –  
 I nie śpiewam dlatego, że nim pocznę, ziewam;  
 Kiedy błdząc przeszedłem k o l u m n a d ę - n u d ó w,  
 Długą i prostą – tudzież k a p r y s ó w - p r z e d s i e n i a  
 I nie dogastył w piasku c m e n t a r z - w i e l k o l u d ó w,  
 Ruszających się sennie pod brukiem z kamienia;  
 Gdy pomierzyłem kroki mymi p r z e d p o k o j e -  
 N e r w ó w - g ł u p i c h, co ciągle przymierzają stroje,  
 A nie są nigdy na czas ubrane weselny!...  
 – Gdy przestąpiłem n ę d z y - p r ó g,

k ł a m s t w a - p o d w o j e

I mijałem już z b r o d n i - l a b i r y n t bezczelny,  
 Po-oklejany zewsząd wyrokami prawa – –  
 Znalazłem się na miejscu, gdzie pod stopą lawa  
 Stygła – i szedłem dalej w powietrzu i porze,  
 I światle, które były rzetelnie b e z - B o ż e !...  
 – Na podobieństwo łańców zwęglonych wulkanem  
 Lub morza, co zatęchło postępem wstrzymanym,  
 Morza fal, które stojąc, poglądały wzajem,  
 Zadziwione niezwykłym głębi obyczajem  
 Jak Sfinksy – – zaś nad nimi pelikanów nieco  
 Z otwartymi gardłami, co schły od pragnienia,  
 I gwiazd parę czerwonych, które w otchłań lecą,  
 Gasnąc...

...tam szedłem (spomnieć trudno bez wytchnienia!...)  
 Szedłem tam – – kędy?... wąpiąc... gdy roślina drobna,  
 Błada i do niewprawnie wyszytej podobna,

Szepnęła mi: „...J e s t ź r ó d ł o...” – a dalej, w parowie,  
Poczułem coś jak wilgoć.

Z tejże samej strony  
Śmiech mię doleciał gorzki i szmer przytłumiony,  
I obaczyłem Męża z rękoma na głowie,  
Jak kiedy kto przenosi całą swoją siłę  
W stopy własne – – ten deptał modrą Ż r ó d ł a żyłę  
Jakoby wstęgę, która mu sandał oplotła,  
Lub szargała się w prochu, gdzie ją stopa wgniotła.  
Śmiech człowieka był wściekły – wymowa odrębna:  
Coś – jak tętno za trumną noszonego bębna,  
Którym wybrzmiewał sarkazm, chrypnąc z nienawiści:  
„P a t r z y c i e ! ... j a k D u c h - s t w o r z e n i a o b u w i e  
m i c z y ś c i ! ...”